

# Gniazdowscy. Weterynarze nie do zdarcia.

**Honorata Dmyterko**



**Na pytanie, czy uprawiają niebezpieczny zawód, pokazują liczne blizny, m.in. na rękach. - Zdarzyło mi się też dostać kopytem w twarz. Z bliska nie jest to nawet bardzo bolesne. Gorzej byłoby, gdyby koń zdążył wyprostować nogę - wspomina Maciej Gniazdowski.**

Od zawsze żyli wśród koni. Obaj wybrali weterynarię - jeden zamiast wymarzonej zootechniki, a drugi - wychowania fizycznego. Dziś są właścicielami lecznicy w powiecie rawickim. Ale często zdarza się, że jeżdżą kilkaset kilometrów, by uratować jakieś zwierzę.

Andrzej Gniazdowski, jak twierdzi - urodził się między końmi, bo jego tata był kierownikiem stadniny. - Pierwszy raz samodzielnie wsiadłem na konia mając 6 lat. Z czasem za to, że pozwolono mi jeździć konno, musiałem robić im opatrunki w zastępstwie za sanitariusza - wspomina. Najpierw chciał iść na zootechnikę. - Tata mi jednak wytłumaczył, że właściwie po weterynarii też mogę być zootechnikiem, ale odwrotnie to nie. Już na studiach otrzymałem stypendium, które musiałem odrabiać przez 3 kolejne lata - dodaje. I tak opiekował się stadninami w Łącku, Stubnie, Strzegomiu, Książu i Pępowie. - Za namową Macieja Świdzińskiego trafiłem do Golejewa, gdzie opiekowałem się stadniną przez 30 lat - wspomina.

## **Przeszło 50 lat weterynarzem**

W swojej karierze zawodowej Andrzej Gniazdowski organizował lecznicę weterynaryjną w Pakosławiu (1978 rok), Ośrodek Zwalczenia Niepłodności Krów i Chorób Wymion w Rawiczu (1979 rok), pracował w Rejonowym Inspektoracie Weterynarii w Rawiczu, gdzie przez 8 lat pełnił funkcję kierownika (1988-1995). Obecnie wraz z synem Maciejem prowadzą własną lecznicę, założoną w 1996 roku. Podstawowym kierunkiem ich działalności jest leczenie zaburzeń rozrodu oraz połoźnictwo i inseminacja koni. Do dziś odwiedzają prywatne hodowle na terenie Wielkopolski, Dolnego Śląska i Ziemi Lubuskiej. Od 1999 roku lecznica ma swoją siedzibę w nowym budynku w Chojnie. - Mamy 10 boksów przeznaczonych na stacjonarne leczenie koni. Maciek po znajomości jeździ jeszcze leczyć bydło czy trzodę chlewną, ale ja skupiam się już tylko na koniach - mówi. Mając prawie 80 lat, Andrzej Gniazdowski nadal aktywnie wykonuje swój zawód. - Nawet jeśli od rana kiepsko się czuję, ale potem

jadę 100 km do chorego zwierzęcia, to wracając dochodzę do wniosku, że tak właściwie już nic mi nie dolega. Towarzysząca mi w pracy adrenalina działa na mnie zdecydowanie leczniczo. Często mówią mi moi koledzy i hodowcy - jestem nie do zdarcia i chyba coś w tym rzeczywiście jest - śmieje się Andrzej Gniazdowski.

## **Połączył pasję do koni i sportu**

Podobnie, jak ojciec, Maciej Gniazdowski urodził się wśród koni. - Pierwszy raz z weterynarią Maciek spotkał się mając jakieś 3-4 lata. Żona pracowała zawodowo i pewnego dnia nie mieliśmy z kim go zostawić, więc wziąłem Maćka na bryczkę, bo wtedy to był mój środek transportu i pojechałem do jednej z podległych mi obór, gdzie trwał poród krowy. Siedząc na bryczce obserwowałem całą akcję i kiedy do niego wróciłem, zapytał mnie, gdzie schowaliśmy cielaczka, że wyszedł z krowy. I tym sposobem musiałem mu wszystko wytłumaczyć - śmieje się Andrzej Gniazdowski.

Od 1980 roku Maciej Gniazdowski uprawiał jeździectwo, a zaczynał w Stadninie Koni w Golejewku. Po maturze myślał o studiowaniu na AWF-ie. - Jednak tata z babcią tłumaczyli mi, że po weterynarii również mogę zajmować się hodowlą i zrobić kursy trenersko-instruktorskie. I tak 26 lat temu ukończyłem weterynarię na Akademii Rolniczej we Wrocławiu - wspomina. Podobnie jak ojciec jest lekarzem Polskiego Związku Jeździeckiego. W 2003 roku uzyskał tytuł specjalisty chorób koni. Jako lekarz serwisowy obsługiwał dwukrotnie Mistrzostwa Świata w Zaprzęgach. Jak wspomina, przez długi czas miał kontakt ze sportem konnym. Do 2015 był wyczynowym zawodnikiem. - Trzykrotnie brałem udział w Mistrzostwach Świata w Zaprzęgach Konnych. W 1985 roku zająłem 12. miejsce w Mistrzostwach Polski Juniorów WKKW, a w 1988 roku 8 - w rywalizacji indywidualnej, a drugie miejsce w drużynówce w Jeździeckich Akademickich Mistrzostwach Polski w Ujeżdżaniu - wspomina Maciej Gniazdowski. Sukcesów sportowych było znacznie więcej, m.in. dwukrotny srebrny medal w Pucharze Polski w Zaprzęgach Jednokonnych, 7. miejsce w Mistrzostwach Świata Zaprzęgów Jednokonnych Pony w Danii. Rywalizował również na Węgrzech i Słowacji. Dziś jest znanym w środowisku sędzią z uprawnieniami drugiej klasy zaprzęgowej.

## **Kopytem w twarz**

Na pytanie, czy uprawiają niebezpieczny zawód, pokazują liczne blizny, m.in. na rękach. - Pies czy kot może ugryźć albo podrapać, a koń może... kopnąć, ewentualnie ugryźć - mówi Maciej. - Pewne sytuacje trzeba też przewidzieć. Trzeba umieć się zabezpieczyć. Każdy z nas wozi w samochodzie pęto, dutki niekoniecznie, bo kawałek drewna i sznurka każdy gospodarz ma, a poza tym nie chcemy przenosić zarazków z konia na konia. Zdarza się, że nawet podany zastrzyk uspokajający nie przyniesie oczekiwanego efektu. Ostatnio jechałem do konia w okolice Kuźnicy Czeszyckiej, gdzie hodowca mi opowiadał, że był już u niego lekarz, ale w trakcie zabiegu dostał kopniaka od konia i kazał wzywać... Gniazdowskich - dopowiada Andrzej Gniazdowski. Przyznaje, że najbardziej na urazy narażone są ich nogi, zwłaszcza podczas poskramiania zwierzęcia. - Ale zdarzyło mi się też dostać kopytem w twarz. Z bliska nie jest to nawet bardzo bolesne. Gorzej byłoby, gdyby koń zdążył wyprostować nogę - wtrąca Maciej Gniazdowski.

Jak twierdzi Andrzej Gniazdowski, weterynarz to trudny zawód zwłaszcza dla kobiety. - Ale mam na myśli specjalizację w dużych zwierzętach. One nie są gorszymi specjalistami, bo pracując z praktykantami i stażystami widzę, że często są one zdecydowanie lepsze od chłopaków, ale w weterynarii dużych zwierząt nie można wyznaczyć sobie czasu na pracę i odpoczynek. Wszystko jest dobrze do momentu, kiedy dziewczyna nie wyjdzie za mąż i nie urodzi dziecka. Oczywiście są od tego wyjątki, jak Hania Rawecka, która doskonale potrafi wypełniać swoje obowiązki. Opiekując się dużymi zwierzętami nie da się nie odbierać telefonów. Widzimy to zwłaszcza w weekendy, kiedy gros lekarzy tak robi - podkreśla Andrzej Gniazdowski. Zgodnie twierdzą, że to praca 24 godziny na dobę. - Do dziś pamiętam moją pierwszą wigilię po ślubie. Rodzice pojechali do mojej siostry, a do nas przyjechała rodzina żony. Stół przygotowany, po domu roznoszą się świąteczne zapachy, więc mówię: idę się kąpać

i możemy zaczynać świętować. W tym momencie dostaję wezwanie do porodu. Na szczęście było blisko i bez komplikacji, więc wróciłem dość szybko - opowiada Maciej Gniazdowski, wspominając, że ich rodzinne wyjazdy na święta lub wakacje zawsze odbywały się z kilkugodzinnym opóźnieniem. - Nasze rodziny są już do tego chyba przyzwyczajone. Tu istotna jest wyrozumiałość naszych żon. Moja jest taka już od 55 lat - dodaje Andrzej Gniazdowski.

### **Setki kilometrów do pacjenta**

Jak twierdzą Gniazdowscy, w tej chwili stworzyła się taka specyfika ich zawodu, że niestety ale muszą bardzo daleko jeździć do swoich pacjentów. - Nie da się być weterynarzem tylko w obrębie gminy czy powiatu, chociaż nasz powiat należy akurat do tych „bogatszych” w hodowców koni - twierdzi Andrzej Gniazdowski. Wspomina, że był okres, kiedy wypadało mieć konia i praktycznie każdy biznesmen go miał, bo samochód przestał już być na pokaz. - Z czasem moda na konie wielu osobom... minęła. Za to powstało więcej ośrodków rekreacyjnych, w których można pojeździć na koniu czy nawet postawić własnego. W parze z mniejszą ilością hodowców wydłużył nam się dojazd do klienta. Zawsze twierdziłem, że za Wisłę się nie wypuszczę, ale już mi się zdarzyło jechać do konia w okolicy Warszawy. Czasami więcej czasu spędzamy za kierownicą niż przy zwierzęciu. Nasza średnia dzienna to 200-300 pokonywanych kilometrów - mówi Andrzej Gniazdowski. - Poniżej 800 km tygodniowo raczej nie schodzimy - wtrąca Maciej Gniazdowski.

Mając własną lecznicę, wyposażoną w salę operacyjną i zabiegową, przyjmują też konie na leczenie stacjonarne. - Są to zwierzęta, które wymagają dłuższego leczenia, np. ze stanami zapalnymi macic i wszelkiego rodzaju zabiegi chirurgiczne, które wymagają większego dozoru, a odległość od nas do hodowcy jest duża i w takiej sytuacji taniej wyjdzie właścicielowi zostawić zwierzę u nas. Jeśli to jest na przykład kastracja, gdzie trzeba podszyc kanał, robimy to u nas, bo musimy to robić we dwóch i przez 2-3 dni musimy nadzorować takiego konia - wyjaśnia Andrzej Gniazdowski. - Właściciel płaci 30 zł dziennie za postój konia u nas, a jeśli mamy inseminować klacz nasieniem mrożonym, to w ostatnim etapie wymagane jest badanie co 4 godziny. Jakby hodowca miał nam płacić za dojazd, to naprawdę to by się mu nie opłacało - dodaje młodszy z weterynarzy.

Gniazdowscy przyznają, że Chojno jest ewenementem w skali kraju. - To jedyna wieś w Polsce, w której jest aż 3 lekarzy weterynarii o specjalizacji końskiej: ja z synem i Karol Andrzejewski - nasz były praktykant, a nie dawno było ich 4, bo mieszkała tu jeszcze Hania Rawecka. Mało tego, w Chojnie jest jeszcze dwóch innych weterynarzy - wyliczają.

### **Poradnik dla młodych lekarzy**

Andrzej Gniazdowski jest autorem książki „Gdy koń zachoruje - poradnik dla młodych lekarzy weterynarii” wydanej w 2010 roku. - Często spotykając się z młodymi kolegami lekarzami, jak również z hodowcami koni, doszedłem do wniosku, że brak jest w naszym piśmiennictwie poradnika, który mówiłby o najprostszych objawach i schorzeniach najczęściej występujących w hipiatrii (dział weterynarii dotyczący leczenia koni – przyp. red.). Nie jest to podręcznik, ani skrypt dla studentów, bo jest w nim mało za mało szczegółów, a wiele schorzeń potraktowałem tylko wzmiankowo - mówi Andrzej Gniazdowski.

### **Napisał do ministra**

W lutym 2016 roku Andrzej Gniazdowski zbulwersowany sytuacją w stadninach koni w Janowie Podlaskim i Michałowie, napisał list otwarty do Ministra Rolnictwa Krzysztofa Jurgieła. - Uznałem, że mam prawo do zajęcia stanowiska, gdyż przez 50 lat opiekowałem się stadninami koni i cały czas praktykuję - tłumaczy. - Z tego, co obserwowałem w czasie bytności w Stadninie Koni Janów Podlaski, to wyposażenie w sprzęt weterynaryjny i opieka stały tam na bardzo wysokim poziomie, co potwierdzał fakt, iż hodowcy bardzo wymagających stadnin z USA, Kuwejtu i innych krajów pozostawiały tam

swoje konie pod opieką. Przyznaje, że szkoda, że przy takich posunięciach nie zważało się na zasługi i przydatność pracowników. - Mam porównanie, jak wyglądały tego typu przedsiębiorstwa w poprzednim ustroju i jak wtedy szanowano fachowców. W latach pięćdziesiątych szefem Centralnego Zarządu Hodowli Koni był pułkownik Stanisław Arkuszewski - osoba bez wykształcenia, oficer polityczny szwadronu kawalerii II Armii Wojska Polskiego - jednak bardzo mądry życiowo. W tamtych czasach do stadnin na dyrektorów i hodowców poprzyjmował ludzi, którzy swoim pochodzeniem nie odpowiadali tamtemu reżimowi, jednak znali się na hodowli i gospodarce. Zawsze tłumaczył: „Wiem, że swym pochodzeniem nie pasujecie do obecnego ustroju, ale wy jesteście od roboty, a ja od pilnowania, żeby nie zrobili wam krzywdy”. I tak było naprawdę.

### **„Weterynarze z sercem”**

Pod takim tytułem TVP emitowała w niedzielne przedpołudnia filmy, w których pokazana była opieka medyczna nad pacjentami klinik weterynaryjnych, zwierzętami w ogrodach zoologicznych, ośrodkach ratujących dzikie zwierzęta, stadninach koni, hodowlach, ośrodkach rehabilitacji osób niepełnosprawnych oraz służbach wykorzystujących w swej pracy zwierzęta, takich jak policja, siły zbrojne, jednostki ratownicze czy służby celne. W dwóch odcinkach zagrali... Gniazdowscy. - Wszystko za sprawą naszej klientki, u której był kręcony ten film. To było specyficzne doświadczenie - wspominają. Maciej leczył wielbłąda. - Żeby to nagrać, robiliśmy ujęcia chyba z trzy razy. Te kilka minut, które widzieliśmy w telewizji były kręcone cały dzień. To słońce przeszkadzało, to trzeba było powtarzać, bo w mikrofonie było słychać... pociąg – relacjonuje Maciej Gniazdowski. Z kolei senior Gniazdowski miał usuwać sarkoid (brodawka) w uchu. - Uprzedziłem ich, że w tym przypadku nie ma mowy o powtórcie, bo nie da się wyciąć tego samego kilka razy - śmieje się Andrzej Gniazdowski.

Wspomina, że największym problemem reżysera był brak... torby lekarskiej. - A przecież dziś naszą torbą lekarską jest... samochód z dużym bagażnikiem. Dawniej - owszem wystarczyła torba. Dziś weterynarz wozi ze sobą wiele medykamentów i urządzeń, jak ultrasonograf, endoskop, czy rentgen - podkreśla Andrzej Gniazdowski. Sam najbardziej wierzy własnym rękóm. - Żaden aparat nie zastąpi badania palpacyjnego, co bardzo trudno wytłumaczyć młodzieży. Dlatego też pogoniłem dwie studentki, które stwierdziły, że u mnie niczego się nie nauczą, bo nie mam nowoczesnego sprzętu elektronicznego. Ale nie pomyślały, żeby przyłożyć ten sprzęt, to najpierw trzeba wiedzieć gdzie. Poza tym są przypadki, kiedy żaden sprzęt nie wykryje choroby. Miałem przypadek, kiedy koń miał zrobione usg i rtg, a nadal kulał. Jak pojechałem, to się okazało, że ropa już mu wychodziła kopytem. I tu liczył się pomyślunek i palce - podkreśla.

\*\*\*

*Dziś na studiach brakuje praktycznych zajęć. Za moich czasów to mieliśmy na wydziale Burka - żywego konia, na którym uczyliśmy się podstawowych czynności, jak choćby podchodzenia do zwierzęcia. Niestety dziś większość młodych lekarzy na początku swojej kariery nie umie założyć sondy. W tej chwili nie ma też możliwości udostępnienia praktykantowi zwierzęcia, bo na ogół nie zgadza się na to jego właściciel, ale na czym ten adept ma się uczyć, jak nie na żywym organizmie. Za dawnych czasów w stadninach w Golejewku i Książu studenci mieli do tego zielone światło. Ja mam zaledwie czterech hodowców, u których student może zrobić koniowi zastrzyk. Czasami trzeba hodowcy wytłumaczyć, że nie ma ratunku dla konia. Trzeba mu uświadomić, ile taki zabieg może kosztować, a często są to niemałe pieniądze. Jeśli zabieg usunięcia skrętu jelit kosztuje kilka tysięcy i nie wiadomo jeszcze czym on się skończy, to może lepiej nie męczyć zwierzęcia i oddać je od razu do rzeźni.*

**Andrzej Gniazdowski**